Nr. 11 Rok 1 Kraków, dnia 14. lipca 1940. 30 gr.

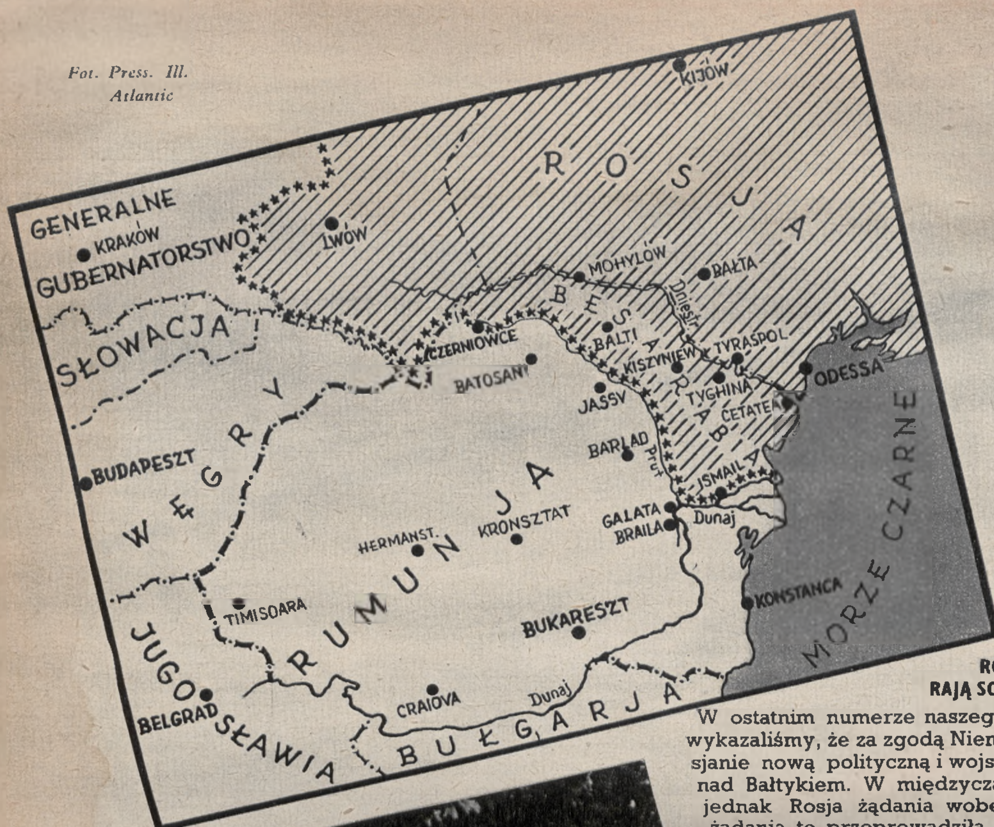
Ilustrowany Kurjer Polski



Angielski transportowiec tonie na raty.

Seria tych obrazków pokazuje nam cztery fazy tonięcia angielskiego transportowca »Orama«, który został zatopiony przez niemieckie siły morskie razem z 30000 ton angielskiej floty. Tak jak te cztery obrazki pokazują w poszczególnych odcinkach zwycięstwo broni niemieckiej nad okrętem angielskim, który — uwieczniony na kliszy fotograficznej — najpierw zostaje trafiony, poczem »staje dęba«, aby na zawsze zniknąć pod wodą, — tak prowadziły dotąd wojnę Niemcy. Odcinkami dokonuje się zwycięstwo niemieckie nad innymi. Na kontynencie złożyła broń, jako ostatni największy przeciwnik — Francja. Ostatnia faza — jak oznajmiają Niemcy — trafi Anglię na jej własnej wyspie. Czy ta wyspa — jak ten transportowiec z powierzchni — zniknie z powierzchni polityki europejskiej?

Fot. Press. Ill. Atlantic





W WALCE O »BIAŁY DOM«.

Któżby był przypuszczał kilka miesięcy temu, że Wendell Wilkie zostanie kandydatem republikańskim na stanowisko prezydenta? Interesowaliśmy się zawsze żywo Ameryką i jej życiem, gdyż posiadamy w Stanach Zjednoczonych przeszło 4 miliony rodaków-emigrantów. Ale o Wilkiem nie słyszało się dotychczas, chyba że ktoś specjalnie interesował się sprawozdaniami gospodarczymi, w których występował on jako prezes jednej z największych elektrowni amerykańskich. Dopiero w ostatnich czasach począł Wilkie grać pewną rolę polityczną, a w roku 1936 popierał Roosevelta. Dopiero niedawno temu stał się Wilkie zdecydowanym przeciwnikiem obecnego prezydenta, zwłaszcza wtedy gdy Roosevelt chciał utrącić towarzystwo elektrotechniczne Wilkiego w Stanie Tennessee na rzecz rządowych przedsiębiorstw. W ten sposób wszedł Wilkie ni stąd ni zowąd do polityki, energicznie popierany przez swoich sympatyków dzięki swej energii w prowadzeniu interesów i wybitnemu krasomówstwu. Wendell Wilkie jest wnukiem niemieckich emigrantów, ma obecnie 48 lat, studiował prawo w uniwersytecie Indiana, z którego to stanu pochodzi, a w wojnie światowej brał udział jako oficer. Następnie został Wilkie dziennikarzem, a potem przerzucił się do przemysłu elektrotechnicznego i tam zdobył obecne stanowisko. Partia republikańska zwróciła na niego uwagę, jako na wybitną jednostkę, która z sukcesem przeciwstawiła się gospodarczo-politycznym metodom Roosevelta, to też preforsowała jako kandydata na stanowisko prezydenta.

ROSJANIE ODBIERAJĄ SOBIE BESARABJĘ.

W ostatnim numerze naszego czasopisma wykazaliśmy, że za zgodą Niemiec zajęli Rosjanie nową polityczną i wojskową pozycję nad Bałtykiem. W międzyczasie wysunęła jednak Rosja żądania wobec Rumunii i żądania te przeprowadziła. Besarabja została wcielona do Unii Sowieckiej. Część Bukowiny, którą w większej części zamieszkują Ukraińcy odpadła także w następstwie tej rosyjskiej poprawy granic. Jakie znaczenie ma odstąpienie Rosji tych terenów bez wojny dla dzisiejszej polityki? Było już naprzód do przewidzenia, że ta wojna wprowadzi zmiany terenowe w całej Europie. Apel wojenny Niemców, nawołujący do rozbicia Europy stworzonej przez Versailles wywołał wszędzie żądania rewizji granic. Należy się więc z tym liczyć, że Besarabja nie będzie odosobnionym wypadkiem zmiany granic. Przypuszczenia, jakoby Rosja rozszerzała się w Europie i wykorzystywała sytuację wbrew woli Niemiec, zostały zarówno przez Moskwę jak i Berlin uznane za niewłaściwe. Jak przedtem tak i teraz liczy się na trwały pokój między Rosją i Niemcami.



FRANCJA PRZYGOTOWUJE SIĘ DO POKOJU.

Francuzi zmęczeni wojną, powracają do domu. Ludność cywilna, która uciekała setki mil przed żołnierzami niemieckimi, powraca do domu. Powoli we Francji wraca życie normalne.

POCHÓD GŁODOWY W LONDYNIE.

Londyn przeżywa teraz straszne dni. My, Polacy znamy je z dni Warszawy we wrześniu 1939 roku. Londyn boi się niemieckiego najazdu ze wszystkich stron. Kartki na chleb, brak żywności, rozgoryczenie i strach, oto nastrój w dzisiejszym Londynie. Każdego dnia może się zacząć atak niemiecki z całą gwałtownością.



Z KOŃCOWYCH WALK WE FRANCJI.

Francuzi dzielnie stawiali opór, Niemcy muszą to swym wczorajszym przeciwnikom przyznać. Obrazek nasz pokazuje nam wycinek z ostatnich walk. Niemieckie ciężkie działo lotnicze w walce z francuskimi wozami pancernymi, które paląc się pozostają na linii.

ADOLF HITLER W PARYŻU.

Ktoby przed rokiem widział tę fotografię w jednej z gazet polskich, nie uwierzyłby nigdy w takie proroctwo. Teraz był Adolf Hitler naprawdę w Paryżu. Widzimy go tam na tle wieży Eiffla. Musimy uwierzyć temu obrazkowi, gdyż wydarzenia we Francji nie pozwalają przypuszczać, że chodzi tu o fałszywą niemiecką propagandę. Niemcy rzeczywiście wmaszerowali zwycięsko do Francji.

Fot. Scherl Press. Ill.

FRANCUSCY MARYNARZE WITAJĄ URATOWANY OKRĘT »DUNKERQUE«.

Z początku nie chciało się po prostu wierzyć: flota angielska ostrzeliwuje francuskie okręty wojenne, które znajdowały się we francuskich portach kolonialnych. Dramat w Oranie nie ma drugiego przykładu. Anglia, która zostawiła Francuzów, tak jak nas Polaków, własnemu losowi, traktuje swoich wczorajszych przyjaciół jak nieprzejednanych wrogów. Marszałek Petain, nowy prezydent Francji, którego imię, jako naczelnego wodza z wojny światowej, jest szeroko znane, policzył się z Anglią. Francja oznajmiła, że przeklina Anglię Churchilla i zapomina o dotychczasowej przyjaźni. Znaczy to, że Anglia jest w Europie sama. Jej wielki przyjaciel Francja, nie mogła znieść tego, że Churchill zdradził swego wczorajszego sprzymierzeńca, który nie tylko przelewał dla Anglii krew na ziemi francuskiej, ale który teraz został jeszcze napadnięty przez Anglię. Jeden z najnowocześniejszych francuskich okrętów wojennych »Dunkerque« lekko uszkodzony mógł się ratować przed atakiem angielskim.

PRZEKAZANIE ODCINKA LINJI MAGINOTA.

Niemiecki generał przejmuje od żołnierzy francuskich jedną z twierdz linii Maginota. Niemcy oznajmili Francuzom, że zapewniają im rycerskie traktowanie, o ile nastąpi prawidłowe wykonanie zawieszenia broni. Z ust francuskich nie słyszeliśmy żadnej skargi, że Niemcy złamały głoszoną rycerskość.

NOWY





Specjalny reportaż z Nowego Sącza. Fot. Borek

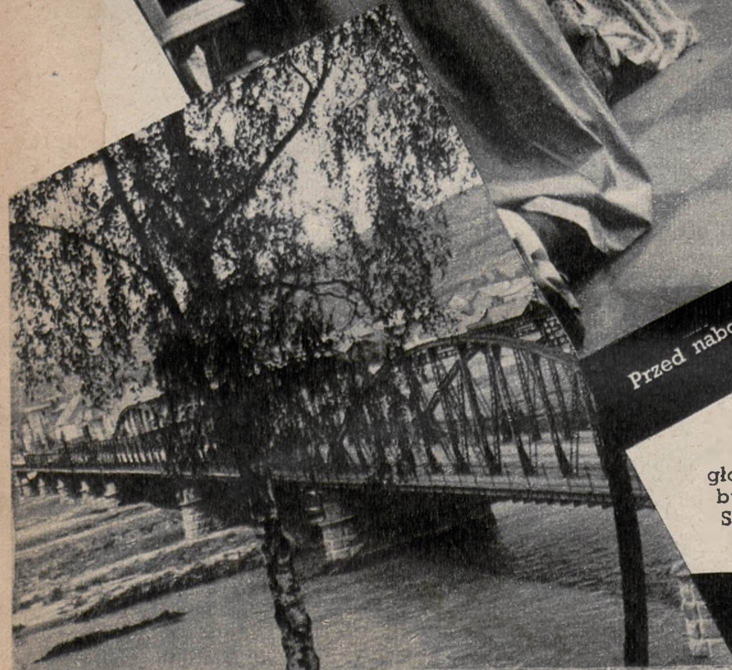
Przed nabożeństwem w katedrze.

Kościół szkolny w Nowym Sączu utrzymany jest w stylu romańskim.

Fragment ratusza nowosądeckiego

Życie prowincji kształtuje się zupełnie inaczej jak życie wielkiego miasta. Wypadki biegną tam daleko wolniej niż w większych skupiskach ludności, obraz cały jest bardziej spokojny i mniej urozmaicony. A jednak w niejednym miasteczku prowincjonalnym znajdujemy właśnie dlatego, wiele pięknych zabytków nieruszonych bieżącymi wypadkami i zachowanych w postaci pierwotnej.

Takim miasteczkiem jest Nowy Sącz. Położony wspaniale nad Dunajcem, został on założony w r. 1294 i przez długi czas odgrywał niebylejaką rolę handlową, gdyż leżąc na głównej drodze handlowej, łączącej Polskę z Węgrami a przez Węgry z całą zachodnią Europą, był wybitnym centrum handlowym. Otaczany opieką królów polskich, posiadał Nowy Sącz bujne życie handlowe. Z zabytków Nowego Sącza wysuwa się na pierwszy plan zamek



Most na Dunajcu w Nowym Sączu.



SĄCZ



z alegorycznymi figurami.

Ratusz w Nowym Sączu.

Widok jednej z uliczek Nowego Sącza z kościołem ewangelickim widzianym od strony kościoła OO. Jezuitów

królewski. Tu pod oczami wielkiego historyka Jana Długosza wychowywali się synowie Kazimierza Jagiellończyka. Godną jest widzenia również piękna katedra, kościół Jezuitów, ratusz i wiele pięknych domków o staroświeckiej architekturze. Ale poza tymi walorami a raczej przed nimi należałoby wymienić wspaniałe położenie tego miasta. Kotlina sądecka posiada świetne warunki zdrowotne przede wszystkim dzięki położeniu nad dwiema rzekami tj. nad Dunajcem i Kamienicą a następnie dzięki bliskości wielkich lasów. Gdy w niedzielę lub w dnie targowe zaroi się miasteczko od barwnie ubranej ludności wiejskiej, gdy do kościołów dążą wieśniacy, gdy na rynku zapanują rozhowory sąsiedzkie spotykających się okolicznych gospodarzy i gosposi, ciche zazwyczaj miasto przybiera wygląd niezwykle ożywiony a przygodny turysta ma sposobność napatrzenia się ciekawym scenom.



Grupa włościanek podczas niedzielnej wycieczki do Nowego Sącza.





Dzień w dzień idzie mamusia do fabryki Krakowskiego Państwowego Monopolu Spirytusowego. Dzień w dzień, stając przy maszynie do mycia flaszek, wykonuje prawie już mechanicznie potrzebne przy jej pracy ruchy, i dzień w dzień cieszy się ona od nowa na powrót do domu po skończonej pracy. Bo nie wraca ona sama. Wracają z nią Lunia i Jędruś, którzy zawsze mają jej coś do opowiedzenia o tym co przeżyli w fabryce. Jedno prześciga drugie w opowiadaniu, nieraz musi się mamusia śmiać do siebie, gdy siostrzyczka z całą powagą wieku poprawia swego o rok starszego braciszka.

Tak, Lunia dopiero niedawno skończyła cztery latka, a Jędruś jest o 11 miesięcy od niej starszy. Mimo tego swojego »poważnego« wieku, maszerują raźno z mamusią codzień rano do fabryki i po pracy znowu z nią wracają. Bo tak jak mamusia, spędzają i dzieci cały dzień w fabryce, tylko nie stoją — jak ona przy maszynie do mycia flaszek lub innej, których tu tyle. To byłoby niedobrze. Zaraz za bramą rozdzielają się ich drogi. Lunia i Jędruś spotykają jeszcze wielu swoich towarzyszy i razem idą do przedszkola, znajdującego się w zakładzie P. M. S. Są między tymi towarzyszami starsi niż Lunia i Jędruś, są jeszcze mniejsi, a nawet i tacy, którzy sami jeszcze by nie zaszli. Więc się ich przynosi albo przywozi w wózku. Ci mają dla siebie osobne miejsce.

W przedszkolu jest bardzo przyjemnie. Są tam panie bardzo miłe, które dziećmi się opiekują, jest i pan-doktór, który co dzień ich odwiedza. Niechno którego co zaboli, zaraz pan doktór w białym płaszczu znajdzie na ten ból radę. A panie? Panie bawią się z dziećmi, dają zabawki, przeczytają piękną historyjkę, obetrą łzy, gdy

Idę z mamusią

OPIEKA SPOŁECZNA NAD DZIEĆMI W ZAKŁADACH P.M.S. i P.M.T.



się komu »krzywda« stanie, jednym słowem są jak mamusia każdego z nich. I jeść też dają. I wszystko widzą; widzą, że mały Kazik i Wandzia są nieśmiali przy jedzeniu, a Jurek natomiast ma o każdej porze doskonały apetyt. Pilnują więc, żeby i Kazik i Wandzia zjedli dosyć, no i żeby Jurek też się najadł. Jedzenia Bogu dzięki — jeszcze wystarczy. I wszystko idzie jak z płatka. Nie, nie wszystko! Po obiedzie dzieci mają spać, mają wypocząć. Ale Basia i Romek, dwa urwisy, nie lubią tej popołudniowej drzemki i skaczą, rozmawiają, ciągną innych za sobą. Naturalnie tak, żeby pani nie słyszała. Ale i tak zawsze słyszy!

Po przerwie obiadowej, znowu zabawa od nowa, tak samo jak w przedszkolu Państw. Monop. Tyton. Oba Zakłady Monopolowe mają te wartościowe urządzenia społeczne, których wartości i znaczenia nigdy nie dość podnosić. Jakżeż bowiem ma pracować matka, gdy myśl jej zamiast przy maszynie, głowi się nad tym, czy jej pozostawione bez opieki dzieci nie wypadną oknem, nie podpalą domu i same się nie spalą? Czy nie było już takich nieszczęść i czy matka, pogrążona w trosce o dzieci, sama nie dostawała się między tryby? Jakże spokojne mogą być matki tych dwóch krakowskich zakładów i jak lekka jest dla nich ich praca, gdy wiedzą, że ich dzieci nie są pozostawione samym sobie, lecz mają ciągłą opiekę.

U góry:

Czy za dwadzieścia lat będzie Miś też tak na świat patrzał? Z pewnością nie! A mała Dusia wie już dzisiaj, że ze wszystkich chłopców przedszkola Misia najwięcej lubi.

W dziecińcu P. M. S.

Prawdziwy atleta z tego Kazika. W sam raz opiekun dla jasnowłosej Oli.





W żłóbku

Beneficenta Immaternidad w Hawanie

Tysiąc dzieci nieślubnych wszystkich kolorów i ras znajduje w tym żłóbku swoje ognisko rodzinne. Został on założony przez jakąś wielkoduszną patronkę i otrzymuje stale znaczne rządowe subwencje. Dzięki ofiarnemu, sprężystemu i mądremu kierownictwu, udaje się w większości wypadków wychować te dzieci, które są żywym sumieniem tego miasta, na pożytecznych ludzi.

Fot. Tschira.



U góry:

Lunia i Jędruś zawsze znajdą powód do śmiechu. Czyż minki ich nie mówią, jakie z nich muszą być śmieszki i jak im dobrze w ochronce?

W przedszkolu P. M. T.

»Doskonale czuje się mój Toluś w przedszkolu« — mówi mamusia, która dopiero co stała przy maszynie do prasowania tytoniu, a teraz z dumą przedstawia nam swego synka.

Fot. Borek

Bociany





Tylko człowiek wyrosły na wsi może zrozumieć przywiązanie do zwierząt, które jest czemś więcej jak przyzwyczajeniem się do nich a staje się wogóle umiłowaniem natury. Czemże bowiem byłby człowiek bez towarzystwa kochanych zwierząt, które mu nieraz pomagają, rozweselają życie, wprowadzają w nie pewną rozmaitość i towarzyszą w ciężkich nieraz godzinach?

Od najdawniejszych czasów stara się człowiek podpatrzyć naturę zwierząt, zrozumieć ją, oswoić i zbliżyć do siebie. Z tej długotrwałej obserwacji i wiekowego współżycia wyłoniły się oczywiście serdeczne nici łączące człowieka z dwu- czy cztero-nożnym zwierzęciem. Dla człowieka wsi, zwierzę nabrało nieraz daleko bardziej charakterystycznych cech, jak jego brat — człowiek. Tysiączne legendy, przesądy mówią o roli odegranej przez zwierzęcych towarzy-

Złoto



Sloogan, konwojent transportu złota, podniósł rewolwer do oka, palec jego poruszył cyngiel i w następnej sekundzie... W następnej sekundzie było już zapóźno! O jedną dziesiątą tej sekundy ubiegł go bandyta. To jego strzał zagrzmiał zamiast Sloogana. Sloogan zaś zachwiał się na koźle kilka razy, zatrzepotał rękami, wyrzucił je w górę i padł naprzód, między konie. Nie żył już. Strzał trafił go w głowę.

W jednej chwili rzucili się bandyci na wóz. Sloogan był bowiem ostatnim, który stawiał opór. Ci drudzy, jeden biały i dwóch indian, zostali już przedtem zabici. W kilka minut bandyci rozdzielili między siebie skarb: kilka worków, wypełnionych mniejszymi skórzanymi woreczkami. Każdy woreczek zawierał czyste złoto: pył, ziarna i grudy wielkości orzecha, tak jak zostały one wydobyte w niegościnnych górach z załomów skalnych albo z tzw. finding-holes, głębokich jam w ziemi i z zimnych jak lód strumieni górskich.

Trzej bandyci włożyli bezcenny ciężar do kieszeni siodeł, przeglądnęli jeszcze raz wóz i wsiedli na koń. Jeszcze ostatnie spojrzenie na miejsce zbrodni, poczem pocwałowali tak szybko, że konie prawie dotykały ziemi brzuchami. Każdy z nich miał teraz majątek przy sobie. Każdy był bogaty. I każdy z nich był mordercą. Ale to im nie ciężyło na sumieniu. Zabiło je im złoto, a odblask jego ukazywał im przyszłość jasną i cudowną. Po chwili zwolnili kroku i długi czas jechali w milczeniu obok siebie. Allan Trevor, herszt, jeden z najniebezpieczniejszych bandytów zachodu, począwszy od krainy jezior aż po wybrzeża Alaski, pierwszy przerwał milczenie: »Naturalnie nie możemy złota tak odrazu, dziś lub jutro wymienić« — powiedział powoli. — »Zanim dojedziemy do jakiegokolwiek banku, będzie już cały okręg zaalarmowany. Sam djabeł roznosi chyba po świecie wiadomości o takich napadach. Każdy, kto chciałby w najbliższym czasie wymienić większe ilości złota wyda się podejrzany«. — »Przeklęta sprawa!« — wybuchnął Ian Corrick, najmłodszy z bandytów i spojrzał z nienawiścią na swego herszta. — »Ja chcę używać. Chcę wiedzieć, że mam to złoto, chcę...«. — »Nic nie będziesz chciał« — przerwał mu Trevor ostro. — »Przeczekasz spokojnie jakiś czas w ukryciu, tak jak Farrigan i ja. Pod żadnym pozorem nie pokażesz ludziom tego złota, mój kochany. Zdeponujesz je tam, gdzie Farrigan i ja zdeponujemy nasze«.

Corrick nic na to nie odpowiedział. Jakiś czas jechali znowu w milczeniu. Ze szczelin skalnych doliny, którą teraz jechali, zaczęły wypełzać już cienie wieczoru i nic nie mąciło jego ciszy. Tylko podkowy zadzwoniły od czasu do czasu na wystających kamieniach, więcej już nic nie było słychać. W trakcie jazdy, Corrick, pogrążony w myślach jak noc czarnych, pozostał nieco w tyle. Trevor i Farrigan jechali obok siebie. W pewnej chwili przysunął Trevor swego konia tuż do konia Farrigana, obejrzał się ostrożnie i prędko szepnął: — »Farrigan, Corrick mi się nie podoba! On myśli tylko o złocie, a zapomina o niebezpieczeństwach, jakie nam grożą. Złoto go zaślepiło, jak wielu już przedtem. Gdyby mógł, uciekłby nam teraz, jestem tego pewny. On nie zna żadnej karności, zachowuje się jak młodzik, który po raz pierwszy wytknął nos na zachód. Będzie on dla nas ciągłym postrachem, jak długo...«. — »Jak długo będzie przy życiu. To chciałeś powiedzieć, prawda Trevor?« — dokończył za herszta Farrigan, a Allan Trevor skinął tylko głową. Obaj spojrzeli na siebie dłużej. Zrozumieli się. Los Corricka został już przesądzony. Bez słów, ale nieodwołalnie.

Corrick zbliżył się teraz do nich i skierował konia w stronę Trevora. — »Dokąd nas właściwie prowadzisz?« — zapytał, patrząc spodełba a Trevor objaśnił: — »Tam, gdzie złoto będzie bezpieczne. Do pieczar górskich w River. Żaden człowiek nie zna ich prócz mnie. Odkryłem je przed laty przez przypadek. Jestem pewien, że drugi raz nikt ich nie odkryje. Wewnątrz góry znajduje się prawdziwy labirynt chodników, pieczar i grot. Tylko ja jeden wyznam się w tym zamęcie. Chodziłem po nich tygodniami, robiłem na ścianach znane mnie samemu tylko tajemne znaki i wreszcie narysowałem dokładny plan. Wejść do tych czeluści potrafi każdy, kto zna już wejście, ale wyjść?« — Zaśmiał się ze złośliwą radością.— »Wyjść nikt nie potrafi, nikt nie zobaczyłby już światła dziennego. Tam schowamy nasze złoto! Tam będzie ono bezpieczniejsze, niż we wszystkich safesach świata. Banki można bowiem obrabować, banki mogą zbankrutować, ale góry są pewne i wierne. One dobrze ukryją i nic nie zdradzą«.

Corrick nic nie odpowiedział. I znowu leżało między nimi milczenie, choć w każdym z nich kłębiło się tysiące myśli. Jechali już teraz w grubej ciemności, ale Trevor musiał drogę naprawdę dobrze znać, gdyż ani na chwilę nie tracił z oczu kierunku. Po godzinie jazdy zatrzymał konia i zsiadł. — »Stąd musimy sami nieść swoje złoto. Konie po tej drodze nie przejdą«. — Farrigan i Corrick zatrzymali też konie i zsiedli. Potem zdjęli worki ze złotem i pod przewodnictwem Trevora ruszyli przez gęstwinę okalającą podnóże olbrzymiej skały. Trevor skręcił na prawo i znikł w wąskiej szczelinie skalnej. A za nim dwaj pozostali. Ale już po kilku krokach rozszerzył się wąski otwór w wygodnepzejście i jeszcze po kilku krokach stali wszyscy trzej w małej dolince, pokrytej skąpą roślinnością i otoczonej sterczącymi w niebo skałami. Trevor podszedł pewnym krokiem do sobie tylko znanego miejsca w skale. — »Tutaj jest wejście do mojego podziemnego banku« — powiedział, uśmiechając się blado. I wyciągając równocześnie z kieszeni jakiś złożony papier, dodał: »A tu widzicie mój plan«. — To mó-



szy, o ich mądrości, dobroci i przywiązaniu. Niewiele tylko stworzeń doszło do takiego znaczenia, jak kochany przez wieśniaków bocian, mądry ptak zwiastujący wiosnę, wielki żeglarz przestworzy. Nie ma bodaj kraju, w którym by nie istniało przekonanie, że bocian przynosi domowi, na którym założył swoje gniazdo szczęście i majątek i że należy go za wszelką cenę skaptować na współlokatora. Nic też dziwnego, że nieomal wszędzie umieszcza się na dachu stare koło wyścielając je chrustem, zapraszając w ten sposób, bocianią rodzinę na stały pobyt. Ale bocian jest wymagającym sublokatorem i ma swoje własne poglądy na te sprawy, to też nie na każdym dachu przyjmie gościnę. Ptak ten robi wrażenie filozofa, a dla człowieka jest usposobiony przyjacielsko.

A gdy na jesień bocian nie bacząc na bariery polityczne, na wojnę i na paszporty, odlatuje w ciepłe kraje, każdemu z nas robi się przykro, że traci starego przyjaciela.

XZ



wiąc podsunął im plan. Corrick pochylił się chciwie nad papierem. A ponad jego pochyloną głową spotkały się spojrzenia dwóch pozostałych. I w następnej chwili zabłysnął w ręce Farrigana nóż i bez szelestu utknął w sercu Corricka. Przez plecy... z tyłu. Teraz nie był on już postrachem Allana Trevora. Farrigan i Trevor, nie troszcząc się więcej o zabitego wzięli jego złoto dla siebie. Potem zapalił herszt małą latarnię i na kolanach wczołgał się do wąskiego chodnika, ukrytego całkowicie w zaroślach.

Farrigan, który dźwigał teraz większą część złota, wsunął się za swoim przewodnikiem. Owiało go lodowate zimno wiejące od tego masywu, lampka zaczęła migotać, i w jej migocącym świetle raz po raz błyskały wilgotne ściany pieczary. Cisza panująca tutaj była tak zupełna, że można ją było prawie słyszeć. Ta cisza właśnie i ten mrok krwawy, przenoszący się ze ściany na ścianę i przede wszystkim złoto, które dźwigał, podziałały na Farrigana jak opium. Nagle usłyszał w sobie jakiś głos, naprzód słaby, potem coraz mocniejszy a wreszcie wszystko w nim huczało: Zabij Trevora! Zabij Trevora! wszystko złoto będzie twoje! Teraz i ty znasz schowek, teraz i ty możesz mieć plan, Zabij Trevora!

Coraz głębiej prowadził Trevor wspólnika. Przy każdym prawie zakręcie, na każdym skrzyżowaniu i rozgałęzieniu dróg musiał Trevor brać plan do pomocy. A Farrigana coraz bardziej opanowywała zbrodnicza myśl. — »Z pomocą tego planu łatwo znajdę wyjście z˜tej plątaniny«. — myślał, zdecydowany już na morderstwo. — »Trevor miał rację. Bez tego papieru nikt nie ujrzałby światła dziennego«.

W tej chwili Trevor stanął i wskazał na głęboką niszę w ścianie. — »Tu jest nasz safe. Tu schowamy nasze złoto« - powiedział. Potem postawił latarnię na wystającym ze ściany kamieniu i pochylił się, aby wsunąć pierwszy worek w szczelinę. W tej właśnie chwili Farrigan rzucił się na niego.



Trevor napadnięty znienacka i od tyłu był w złym położeniu. Był jednak silniejszy, szybszy niż Farrigan i... bardziej rozgoryczony. Każdemu chodziło przede wszystkim o wydobycie rewolweru, ale jeden drugiemu na to nie pozwalał. Walczyli więc w milczeniu, śledząc nawzajem z największą uwagą swe ruchy. Po pewnym czasie, zmęczeni tym przyczajaniem się ciągłym, zaczęli walczyć pięść za pięść, chwyt za chwyt. Farrigan był jednak młodszy i Trevor poznał, że zginie. Dyszał już ze zmęczenia i mdlał powoli. I w oczach Farrigana widział mord. A Farrigan widział śmierć swego herszta i wszystko złoto. W szale radości zadał ostatni, śmiertelny cios. Trevor nie mógł się już bronić. Skulił się i zachwiał.

W swej ślepej radości przeoczył jednak Farrigan jedno: nie widział kierunku, w którym szło spojrzenie Trevora. A Trevor patrzał na palącą się latarnię. Miał umrzeć on, niech ginie także jego morderca. Niech ginie w ciemnościach tego labiryntu! I zanim Farrigan mógł się spostrzec, zbił szkło latarni. I równie szybko rzucił w jej płomień bezcenny papier. W jednej chwili płomień chwycił papier, a w drugiej został z niego już tylko popiół. A równocześnie prawie Farrigan, dysząc z wściekłości wbił mu nóż w piersi. Ten sam nóż, od którego zginął ich wspólnik Ian Corrick.

A Trevor umierając już, jeszcze się uśmiechał. Farrigan zrozumiał ten uśmiech. Zrozumiał, że Trevor ostatek sił i ostatnią swą chwilę poświęcił na to, by zniszczyć papier. — »Pokaż mi drogę!« — błagał, szlochał, wił się Farrigan, patrząc w twarz upadającego. — »Pokaż! — wszystko złoto ci oddam, tylko wskaż mi drogę«. Umilkł. Trevor też milczał. Głowa jego uderzyła głośno o kamień. Może dlatego po raz ostatni otworzył jeszcze oczy. Z tych oczu wyczytał Farrigan także swój wyrok, jak przedtem mógł go wyczytać Corrick, gdyby nie był pochylił się nad papierem: Teraz wszystko złoto należy do ciebie. Ale jesteś z nim sam i pozostaniesz sam aż do ostatniej swojej godziny. Wtedy wiedział, że też zginie.

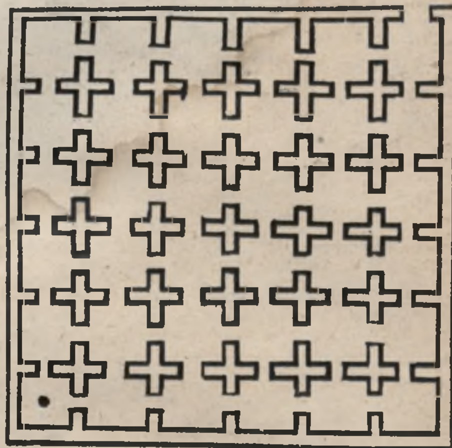
Tani parasol.

Pani Kopeciowa kupiła sobie tani parasol i do niego stosowny drobiażdżek... kostium. Kiedy mąż zobaczył rachunek, o mało nie wyskoczył ze skóry. — Cóż ty sobie wyobrażasz? — krzyczał — wydajesz 196 złotych, jak gdyby to były tylko grosze. — Na to żona przerwa mu: — Ależ mężu! ten parasol jest naprawdę tani. — I zanosi się płaczem. — Tak, za to kostium kosztuje o 182 złote więcej niż parasol — mówi mąż poirytowany wydatkiem i płaczem żony.

— Ileż wreszcie kosztował ten tani parasol? Odpowiedź żony należy odgadnąć.

Łamigłówki

Droga do wolności.



Pewien więzień siedział w więzieniu, w którym było 36 cel. Jego umieszczono w ostatniej celi. Po jakimś czasie obiecano mu wolność, ale pod warunkiem, że przejdzie wszystkie cele nie wchodząc do żadnej oprócz swej własnej dwa razy. Jak powinien był więzień iść, aby się uwolnić?

Rozwiązanie zagadek z Nr. 10

Logogryf: Łazarz, powiat, Peru, okucie, cham, adwent, Jura, stoper, świerk — za-wi-er-uc-ha-we-ur-op-ie: zawierucha w Europie.

Zagadka szachowa: Wynalazca żądał 146402730 74 ton, 372, 66 kg.

Szarada: no-wi-na.

Rozwiązanie zagadek w numerze następnym. Il. Kurjer Polski chętnie umieści wszelkie zagadki nadesłane przez Czytelników. Zagadki proszę nadsyłać do Redakcji »Gońca Krakowskiego«, Kraków, Wielopole 1, »Dział Łamigłówki«.

Godzina treningu u Tarłowskiego

»Do licha, dwie czarujące dziewoje. Cała przyjemność po mojej stronie«.



Piłki tennisowe są jak kapryśne kobiety. Najpierw same ku nam podlatują, żeby za chwilę uciec, a uciekają tam, gdzie nie powinny. A gdy się nam zdaje, że już je mamy na rakiecie, jakimś cudem znajdują się na nosie. Po prostu grają nam na nosie. To znowu są nam powolne, pozwalają sobą kierować, aby w mgnieniu oka rzucić nas i iść własną drogą. Raz jest dobrze uchwycić je mocno, innym razem chcą, żeby je brać lekko i ostrożnie, zależnie od humoru. Raz mocno, raz delikatnie, byle za każdym razem inaczej. Wielu chciałoby zgłębić tajemnicę tych kaprysów, ale mało jest do tego wybranych. Większa część wezwanych pozostaje niewtajemniczona. Jeżeli Kazek Tarłowski odkrył tajemnicę »traktowania« piłki, jeżeli każdy jej kaprys umie poskromić uderzeniem swej rakiety, to wie on, że tę mistrzowską umiejętność zawdzięcza surowemu i wytrwałemu treningowi i wrodzonej zdolności »wyczuwania« piłki.

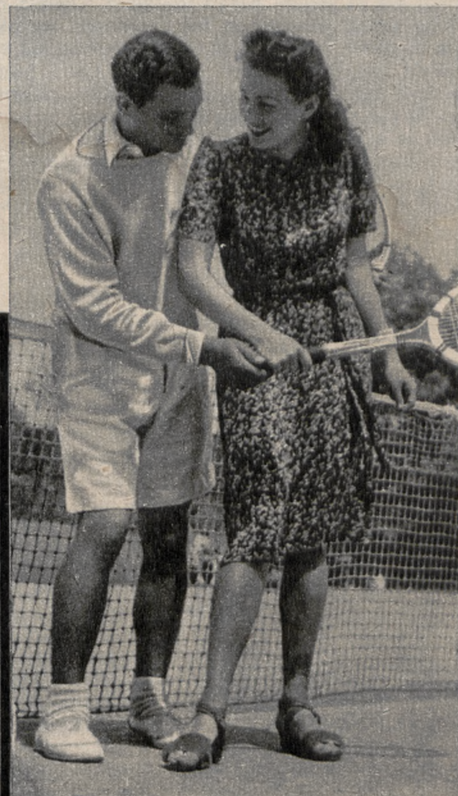
Kryśka: »Kazek, więc spotykamy się dziś wieczorem przed Literacką. Potrzebuję jeszcze trochę teorii«. Wanda: »Umrę chyba ze śmiechu! Właśnie! Spróbuj! Nie wiesz, że Kazek nic poza swoim treningiem nie widzi i że jest wtedy nastrojony jak muł andaluzyjski?«



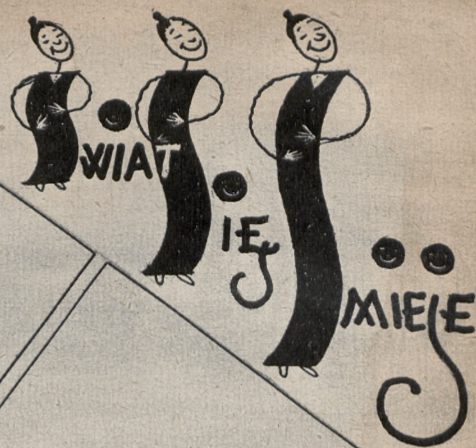
Fot. Borek



»Prawidłowa postawa, Kryśka — Lewą nogą półkrok w bok ku przodowi. A te drewniaczki zostaw na drugi raz w domu!«



»Tak wygląda prawidłowy back-hand, Wando! Prawa noga musi być przy tym wysunięta naprzód, lewe ramię cofnięte i... ładnie podbić«.





Mówi się, że my, syreny, uwodzimy ludzi. Kto tu kogo uwiódł? Ja jego, czy on mnie? Ach, żebym tylko wiedziała na jakim okręcie jest on teraz nurkiem!

(Saturday Evening Post, Ameryka)

Ona: — O Pawełku, kiedy sobie przypomnę, jak mi obiecywałeś, że całą ziemię złożysz mi u stóp, a teraz...

On: — Ależ Zosiu! Czy nie dotrzymałem obietnicy? Czy nie masz jej pod nogami?

Geniusz pana Ciołka czyli jak pan Ciołek poradził sobie z niesfornym włosem.

(Söndagsnisse-Strix, Szwecja)

Uprzedza.

— Panno Kasiu, jaką piękną bieliznę pani nosi!

— Panie Teodorze, muszę pana prosić...

— Ale cóż w tym złego? Widziałem ją w ogrodzie na sznurze.

— Mamusiu, czy aniołki mają naprawdę skrzydełka?

— Tak, kochanie.

— I mogą naprawdę latać?

— Naturalnie, moje dziecko.

— A czy nasza Kasia też lata, bo tatuś powiedział jej wczoraj »aniołku«.

— O tak, ona wyleci jeszcze dzisiaj, zobaczysz.

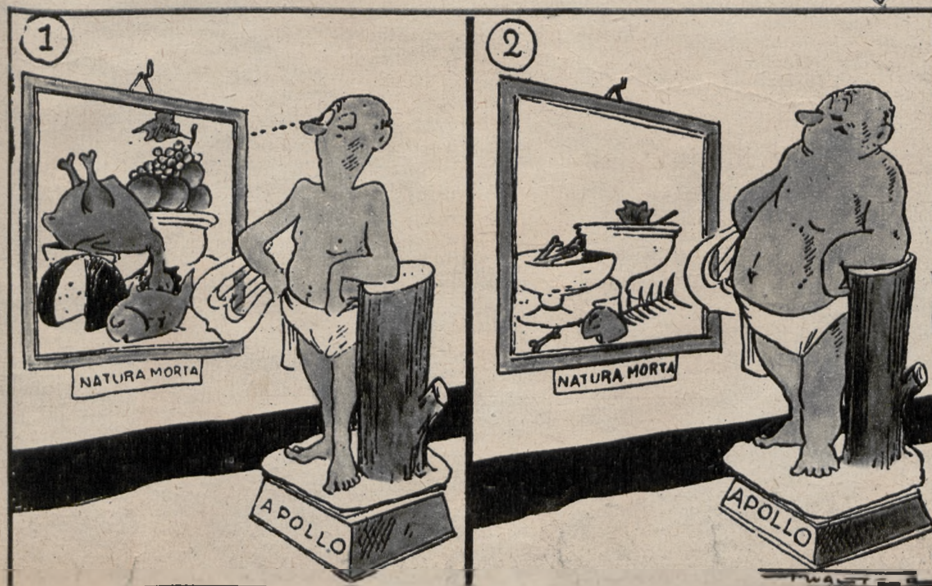
Kto większy leń?

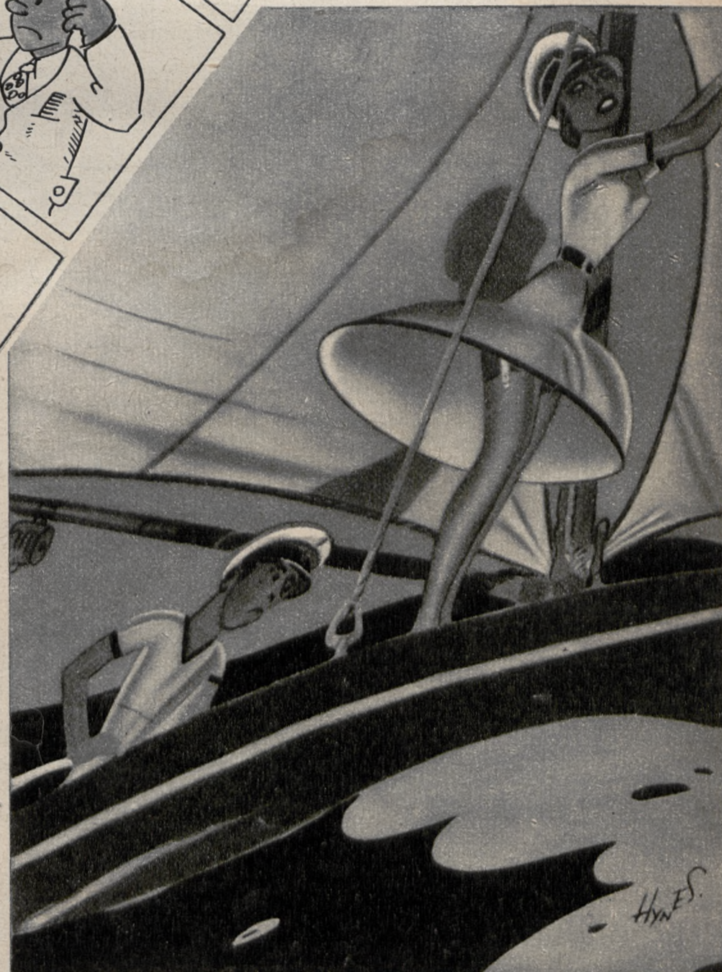
— Nie może pan sobie wyobrazić, jakim leniem jest taki żółw na przykład.

— Skąd panu ta myśl przyszła?

— Stałem wczoraj rano przed wystawą zoologiczną. Był tam także żółw. Niech pan pomyśli, czekałem dwie godziny, zanim się żółw ruszył.

Oto co się stało w muzeum, gdy boski Apollo złakomił się na martwą naturę. *(Marc Aurelio, Włochy)*





Kochanie, jak w niedzielę popłyną z nami moi koledzy, weźmiesz chyba długie spodnie, prawda?

(Ballyhoo, Ameryka)



„Uprasza się nie drażnić tej pantery". *Fot. Gorny*

Wydawnictwo „Ilustrowany Kurjer Polski". Kraków, Wielopole 1. Tel. 206-11